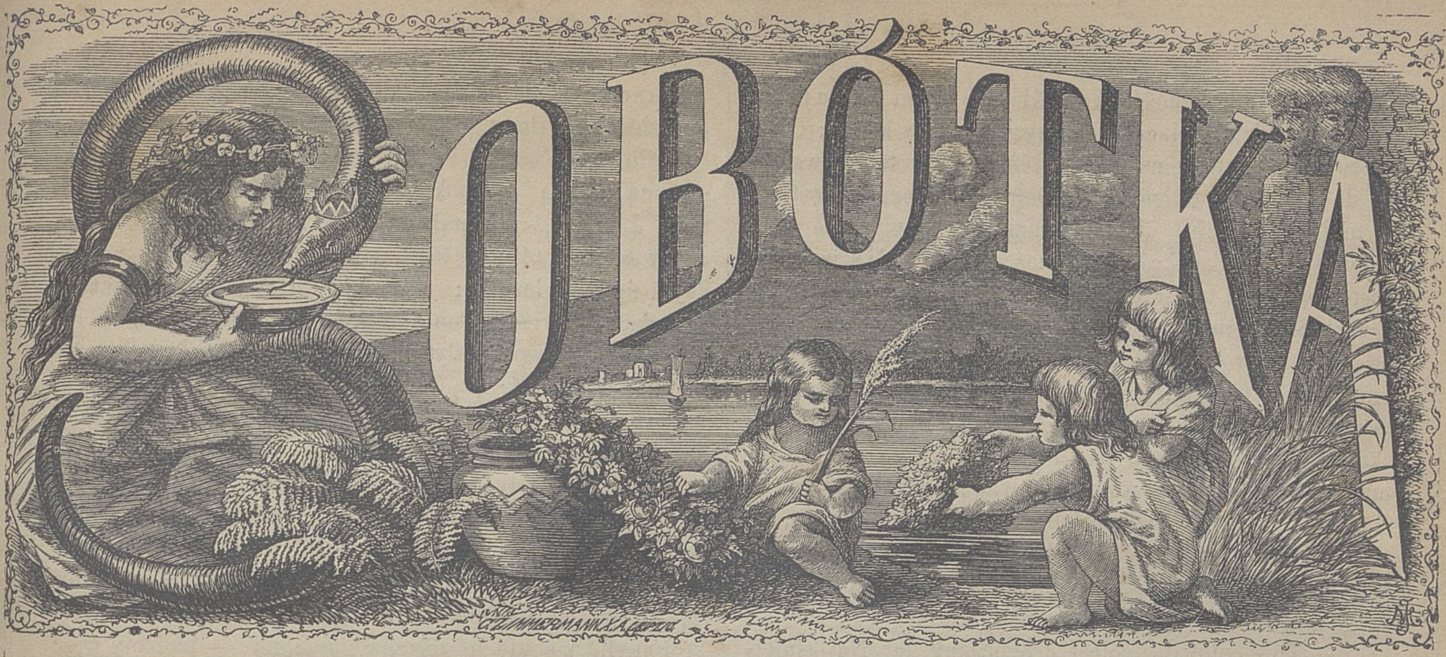


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach miesięcznych po 5 sgr.

№ 5. **Poznań, dnia 30 Stycznia 1869.** **Rok. I.**

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki.**

(Dalszy ciąg.)

— Nie nowina to! mówił daléj król Jegomość; wszakże wiesz mój panie Ignacy, jak wykradł dawniéj hetmanównę?

Żurowski upamiętał się w swoim niepokoju, usiadł przy stole, nalał sobie kieliszek jeden i drugi, a pijąc je pospiesznie, rzekł drżącym głosem:

— Słyszałem coś o tém, lecz opowiedz mi szczegółowo, panie Ignacy.

Szambelan zażył tabaki, a poprawiwszy żabotów, odrzekł:

— Opowiem ci, panie Macieju, wedle słów Najjaśniejszego pana, szczęśliwie nam panującego, wiernie i akuratnie. — Wiesz, że Kościuszko z ubogiéj na Litwie pochodzi rodziny: znał jego ojca pan hetman Sosnowski i za poważnym wpływem swoim, umieścił go w korpusie kadetów w Warszawie. Chłopak się dobrze uczył i zwrócił uwagę księcia jenerała Ziem Podolskich, a następnie zyskał jego względy, przy czém miał sposobność zbliżyć się do osoby Jego Królewskiéj Mości, szczęśliwie nam panującego. — Kiedy ukończywszy nauki, nie miał co robić, bo w wojsku Rzeczypospolitéj przy błogim pokoju nie tak łatwy był awans, pan hetman wziął go na dwór, a młody kadet przez wdzięczność zaczął uczyć rysunków, historyi i jeografii dostojne jego córki. Ale przy téj sposobności nie zaniedbał korzystać ze zbliżenia i pozyskał serce młodéj hetmanówny Ludwiki. Dobrze jednak wiedział hołysz, że tak łatwo ręki jéj nie dostanie. Przybywa do Warszawy, staje przed szczęśliwie nam panującym Panem i zwierza mu się ze swéj miłości. Znasz i wiesz sam, jak dobrotliwy jest nasz król szczęśliwie nam panujący. Wysłuchał cierpliwie młodego zapaleńca, perswadował mu po przyjacielsku nawet, pokazując wymownie niepodobieństwo takiego związku. Ale ten, uparty jak Litwin, miał zuchwałość powiedzieć Najjaśniejszemu szczęśliwie nam panującemu te słowa:

— Jeżeli Wasza Królewska Mość nie dopomoże, to ja pannę sam wykradnę!

Ukłonił się i odjechał. Wtedy monarcha nasz co rychléj wysłał posłańca do hetmana, ostrzegając go o zamiarach pana kadeta. Za późno przybył, bo już uchodziła z uwodzicielem panna Ludwika, ale wysłani ludzie dognali kochanków. Amerykanin bronił się dzielnie, cięty szablą upadł: panna omdlała. Przyniesiono ją do dworu, a uwodziciela skrwawionego i związanego stawiono przed hetmanem, który rzekł do niego groźnym głosem:

— Młokosie! wiedz, że synogarlice nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla szlachetków! Gdybym nie miał uwagi na pamięć twojego ojca, inaczéjbym z tobą postąpił, a teraz tylko wypędzam cię na zawsze z mego domu, bo za wysokie są jego progi na twoje nogi.

Rozkazał go felczerowi nadwornemu opatrzeć, rozwiązać i wywieść do najbliższego miasta z jego manatkami.

— Zuchwały był zapewne zamiar młodzieńca, przemówił zamyślony Żurowski, ale zuchwalsza mowa hetmana. Szlachetka! a zkąd sam wyrósł? także był szlachetką! Wielki magnat, butny, a z jego śmiercią skończy się wielkie państwo i duma!

Szambelan zdziwiony słuchał mowy prezesa, utaił oburzenie swoje na tak gorszące demokratyczne zasady, popił z nowego gąsiorka węgrzyna i mówił daléj:

— Król Jegomość, szczęśliwie nam panujący, gdy opowiedział mi całą historyą, dodał w końcu: Czém skorupka za młodu nasiąknie, tém zawsze trąci; wstąpże do Międzyborza, pozdrów Deputata odemnie i ostrzeż w mojém imieniu. Ja spełniam, kochany panie Macieju, tylko rozkaz króla Jegomości, szczęśliwie nam panującego! I skłonił głowę pokornie, wymawiając z uszanowaniem a dobitnie ostatnie słowa.

Prezes westchnął głęboko, jakby kamień naciskał mu piersi i milczał. Szambelan, zażywając tabakę, poprawiając żaboty i mankiety, spoglądał z pod oka, jaki skutek jego mowa wywrze na nim. Gdy go ujrzał złamanego i osępiałego, rozgrzany winem, rzekł nagle:

— Muszę cię pożegnać, kochany panie Macieju, bo czas nagli i mam obliczoną każdą sekundę. — I spojrzał na zegarek, brylantami wysadzany, dobyty z głębokiéj kieszeni atłasowéj kamizelki.

— To — mówił — jest drogocenny dar Najjaśniejszego Pana, szczęśliwie nam panującego. Za wierną służbę, za pracę, od któréj przyszła wcześniejsza siwizna, raczył mnie obdarzyć tym pysznym podarkiem, a później zaszczycił i orderem świętego Stanisława. Wyborna to sztuka, ale i mój podróżny pektoralik, jako zegarek, doskonale dotrzymuje pola brylantowemu magnatowi.

I znowu wydobył z kieszeni przedniéj na piersiach złoty zegarek z długiemi dewizkami, pokazując, że oba na sekundę nie chybiają. Nalawszy sobie nowy kieliszek, zawołał wesołym tonem:

— No mój stary przyjacielu, żyj szczęśliwy i tyle lat zdrowo, ile ma lat ten wyborny węgrzyn!

Po czém, uściskawszy gospodarza serdecznie, zabierał się do wyjścia, gdy nagle, stanąwszy na środku pokoju, rzekł do prezesa:

— Ot! mój panie Macieju, byłbym zapomniał przy natłoku poleceń Jego Królewskiéj Mości, szczęśliwie nam panującego! Jadę do Lwowa, a mój plenipotent nie stawił się na słowie i nie przysłał mi pieniędzy. Nie mógłbyś mi, prezesie, na tydzień wygodzić ze trzysta czerwonych złotych? —

— Tyle nie mam, ale dwustu mogę ci służyć, mój panie Ignacy! odpowiedział Żurowski.

— No! zajadę tém do Lwowa i załatwię interesa, a potém do Humania lecę. Pozwól pióra i papieru....

— A mnie na co skrypt twój? przerwał prezes. Między ludźmi uczciwymi dosyć słowa obywatelskiego. Czekam zwrotu za dni dziesięć. —

Szambelan cofnął się o kilka kroków, zdziwiony temi słowy, ale miarkując się, pokłonił głową, a skrywając szyderczy uśmiech, rzekł:

— Po tym szlachetnym czynie poznaję prawdziwego szlachcica polskiego.

Prezes otworzył kantorek i wyliczył na stole dwieście dukatów nowych z pod stempla. Zaiskrzyły się oczy szambelanowi na widok złota; zgarnął je co rychléj do sakwy jedwabnéj.

— Król Jegomość... (już nie dodał: „szczęśliwie nam panujący“) będzie wiedział o tym wspaniałym czynie twoim, panie Macieju.

Uściskał go serdecznie i z pospiechem wybiegł do przedpokoju: bitego talara Walentemu wsunął w rękę, wskoczył do pojazdu i kazał gnać co siły, by prędzéj opuścić Międzyborz. —

Po jego odjeździe Żurowski długo chodził ze spuszczoną głową po pokoju. Nie mógł zebrać myśli do ładu. Jakiś ciężar cisnął mu piersi: otworzył więc okno, ażeby odetchnąć świeżém powietrzem. Księżyc na jasnym świecił lazurze; w pobliskim zwierzyńcu doktora zawodziły słowiki. Ten śpiew, noc pogodna, jasna i cisza w około uspakajały wzburzenie jego. Zaczął swobodniéj oddychać całą piersią.

Czy on mówił prawdę? myślał sobie. Jakżeby śmiał kłamać słowa królewskie? Lecz zkąd król wie o wszystkiém, gdy dopiero kilka tygodni bawimy w Międzyborzu? zkąd taka nienawiść do jenerała, gdy własnoręcznie pisał do niego w tak pochlebnych i ujmujących wyrazach, ciesząc się, że bohater, na drugiéj półkuli świata znany, ozdobi wojska Rzeczypospolitéj? — Ale król mylić się nie może, zna go lepiéj — bądźmy więc ostrożni. Czyż prawda, że go Tocia kocha? Choćby nawet tak było, to nie dla niéj partya.

Siedział długo w tych myślach, gdy dosłyszał kwilenie puchacza. Dreszcz go przejął — pokręcił wąsy, i pomruknął: „zły to prognostyk.“ Spojrzał po chwili oknem i wśród jasnéj nocy ujrzał całe grono wracających ze zwierzyńca doktora. Jenerał prowadził pod rękę Tocię. Prezes odstąpił od okna, padł na kanapę, zakrył oczy rękoma, westchnął boleśnie z głębi piersi i zawołał głośno:

Nie! nie! nie! —

VI.

Prezes z zachmurzoném czołem powitał żonę, podał rękę milcząc Toci i Tekli do pocałowania na dobranoc, Brygidzie tylko głową skłonił. Panny, zdziwione jego smutkiem, odeszły z ciotką zasępione, strudzone jednak przechadzką, rozmarzone rozmową i doznaném wzruszeniem prędko i smaczno zasnęły.

Ale w sypialnéj komnacie cicha rozmowa między rodzicami trwała długo: na głos prezesa ratunku! wbiegła panna Brygida, któréj sen z powiek uleciał. Matka po dwakroć omdlewała, miała bicie serca, a Żurowski, na kolanach przed nią klęcząc, całował jéj ręce i utulał, w jakimś dziwnym będąc rozstroju nerwowym. Po spazmach i palpitacyi serca nastąpiło osłabienie mocne. Doktor Stakenszmitt przywołany, przerażony był jéj stanem: coś długo w kącie mówił z prezesem, groził mu surowo, a ten słuchał z dziwną pokorą.

Około drugiéj w nocy uspokoiło się wszystko, Stakenszmitt nie położył się, ale chodził po swoim zwierzyńcu. Wkrótce świtać zaczęło. — Kościuszko już był na nogach: jakiś niepokój sen mu odebrał, wiedziony szczególném przeczuciem, chciał przejść się po zwierzyńcu, tyle drogim sobie, gdy na samém wnijściu spotkał doktora. Od niego dowiedział się o zaszłéj scenie u prezesów, o chorobie zacnéj matrony Osmutniał nagle, uścisnął go za rękę, i wolnym krokiem wrócił do swéj kwatery.

Słońce już wybiło wysoko, gdy się razem prawie obie przyjaciółki obudziły i co rychléj ubrały. Niedługo z cicha się drzwi otwarły i ukazała się panna Brygida z zapłakanemi oczyma i przybladłém licem.

— Co to cioci? rzekła przerażona Tocia, patrząc na nią wystraszonemi oczyma.

— Nic! nic! moje panny! tylko cicho! i to mówiąc, na palcach podeszła i drzwi od sali na klucz zamknęła. Usiadła na kuferku zmęczona i z cicha długo płakała. Gdy się ukoiła nieco:

— Straszna to noc była, mówiła; matka, moja droga bratowa, o mało życiem nie przypłaciła. Tocia zerwała się wybladła i biedz chciała, ale wstrzymała ją ciotka.

— Teraz śpi i potrzebuje spoczynku; czuwa tam przy niéj pan brat troskliwie.

— Cóż to było? pyta Orl wska.

— Kiedyśmy używali miléj przechadzki w zwierzyńcu doktora, zjawił się gość, a raczéj djabeł rogaty, niby szambelan króla a dawny przyjaciel pana brata, który niestworzone rzeczy mu nagadał na naszego jenerała. Napoiwszy jego serce jadem, wyjechał, nimeśmy wrócili. — Ojciec twój, Tociu, pałając jakąś dziwną nienawiścią na pana Tadeusza, byłby dziś jeszcze z nami opuścił Międzybórz, gdyby nie choroba pani bratowéj. Ale po rozmowie z doktorem, który mu dał surowe napomnienie, zmiękł nieco i przestraszony o zdrowie matki, milczy; widziałam nawet że płakał w kąciku.

— Ależ co ten gość gadał na jenerała? mów ciotka.

— Wszystkiego j szcze nie wiem dokładnie, ale niedługo dowiemy się od doktora.

W téj chwili Walenty poprosił panny Brygidy, mówiąc, że gość czeka: jakoż w przedpokoju ujrzała Kniaziewicza, który przyniósł liścik od j nerała do Toci, objaśnił ją o całéj rozmowie i nikczemnéj potwarzy szambelana na Kościuszkę.

— Szczęście jego, że ztąd ten łotr uciekł, mówił drżący jeszcze gniewem: gdybyśmy go z apali, miałby gorącą łaźnię, od któréjby go ni uratował ani order ani tytuł szambelana.

Ciotka doręczyła liścik siostrzenicy, a sama po cichu podsunęła się do sypialnéj komnaty prezesowéj. — Już nie spała, weszła więc, a całując ją, życzyła dnia dobr go.

Żurowski siedział przy oknie i modlił się z książki od nabożeństwa.

— Jakże dzisiaj pani bratowéj? spytała panna Brygida.

— O lepiéj mi znacznie po lekarstwie doktora, ale tak osłabioną jestem, że się ruszyć nie mogę. A gdzie Tocia i Teklusia? niech je zobaczę.

Obiedwie zaraz nadbiegły, a ich rozmowa i pieszczoty orzeźwiły chorą. Ojciec z niezwykłą czułością ucałował córkę i pozdrowił tak pannę Brygidę jak Teklę: a potém znowu się modlił. Cały dzień chora nie opuściła łoża: prezes kazał prosić obu rotmistrzów i Kniaziewicza na wieczór, żeby żonę rozerwać, gdy będzie słyszała ich rozmowę. Stawili się wszyscy z zasępioném obliczem.

Prezes przyjął ich jak najserdeczniéj, kazał przygotować kolacyą, częstował starym węgrzynem, ale ochoty dawnéj rozbudzić nie mógł. Tocia więcéj przy łożu matki przesiedziała: panna Tekla i Brygida zabawiały swych gości. — Rotmistrz Potocki rozmawiał z prezesem o świeżych wypadkach w kraju, o ustaw e rządowéj 3 maja, którą czytał właśnie u jenerała w kwaterze, gdzie kilka jéj egzemplarzy przysłano.

— Jak się ma pan Tadeusz? szepnęła Orlewska do Kniaziewicza.

— Smutny bardzo smutny, czeka na odpis i zobowiązał mnie, abym go przyniósł.

Panna Tekla podniosła się niezn cznie, weszła do sypialni prezesowéj i dała znak Toci.

— Ja teraz zostanę przy mamie — mówiła — ty baw gości, bo się dopytują o ciebie.

Tocia przesunęła się przez sale, i drżącą ręką skreśliła na kartce kilka wyrazów. Oddała je pannie Tekli która doręczyła je Kniaziewiczowi. — Wcześniéj, niż zwykle, goście pożegnali gospodarza i damy. Prezes odprowadził ich do drzwi i zapraszał, aby pamiętali o jego domu.

— Bo nas tu niedługo w Międzyborzu, mówił jakby na przestrogę, czekam tylko na ozdrowienie mojéj panienki, a potém do domu. W Ihnatowicach zato czekać będziemy z utęsknieniem i lepiéj przyjmiemy z chlebem i solą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pieśń nadzieii.

Leć pieśni moja — przez lasy, błonie,
Leć w porze rannéj — niech w czystéj rosie
Każdy twój wyraz kąpie się, tonie,
Byś potém tęskny pieśni méj głosie,
W kroplach śrebrzystéj rosy skąpany,
Czysty jak ona — śrebrnym brzmiał dźwiękiem
I dzwoniąc głośno Panu nad Pany,
Uprosił litość dla nas twym jękiem.

O pieśni moja! W niebios sklepienie
Leć, leć z wichrami przez mgły i chmury
I jak dziewicy niewinnéj tchnienie
Czysta, dzwoń skargą oh! tam u góry.

Głos twój, skąpany w ciemnéj mgle nieba,
Zgodnie się zleje w aniołów pienie,
Wypowie Bogu, czego nam trzeba
I Pan ukróci nasze cierpienie.
I coraz wyżéj, wyżéj nad ziemię,
Leć skargo nasza z moją piosenką!
Niech Bóg odbierze boleści brzemię
A niech zaświeci szczęścia jutrzenką.
I pan wysłucha łaskawie pieśni,
Co jest skąpana we łzach niedoli
I zbudzi naród z upadku pleśni
I skruszy ciężki ł...uch n...oli.

Inowrocław dnia 19 stycznia 1869.

Władysław St..n.



Tańce wojenne plemienia Obbo. (str. 38.)

Zmartwychwstanie z trumny.

Obrazek z niedalekiéj przeszłości

skreślił **Stefan Chorm.**

(Dalszy ciąg.)

Z dwiema rycinami.

„To dobrze! — rzekł dowódzca — ja was sowicie za to wynagrodzę, jeźli poprowadzicie nas borem, ale tak, by nas nikt nie widział, do..." i wymówił pewną wieś sąsiednią. —

„Czemu nie? — proszę pana dowódzcy. Już ja panów takiemi manowcami poprowadzę, że żywéj duszy nie spotkamy."

— „Wszyscy gotowi do marszu, pułkowniku!" — nadchodząc, mówił adjutant.

— „No to chodźcie prowadzić nas ojcze!" rzekł dowódzca i ruszył w stronę, zkąd szmer i szczęk broni ich dochodził. Oddział był już sformowany. Świecący rząd kos przed krzakami napawał wszystkich rycerskim duchem. Pułkownik, ukazawszy się przed oddziałem, który podzielony był na dwie gromady: kosynierów i strzelców, rzekł: „Wiara! baczność, marsz; lecz cicho, bez krzyku by pochodu nie zdradzić! kosy spuścić na dół, po dwóch tuż za mną. Straż tylną ma kapitan. Prowadźcie ojcze! Marsz więc w imię Boże!"

„Wilczek naprzód!" krzyknął na psa gajowy, wskazując mu kierunek, w którym miał prowadzić. Tuż za nim postępowali pułkownik z adjutantem, a dopiero nieco daléj, ciągnął się sznur powstańców. Raz poraz szczęk broni, łoskot gałęzi lub szmer mowy przerywał grobowe milczenie; raz poraz spłoszona zwierzyna z pod nóg wyrywała się maszerującemu oddziałowi.

— „Niepodobieństwem będzie nam dzisiaj wywinąć się z matni! Z wszystkich stron równocześnie na nas wyruszyli. Trzeba nam będzie pewno stoczyć walkę" — półgłosem mówił pułkownik do adjutanta.

— „Kto wie, pułkowniku? może nam się uda zmylić ich rachuby i tak się po lasach kręcić do nocy; a w ciemności łatwo będzie pod ich nosem umknąć, lub





ukryć się między chłopami po kwaterach. Tu lud przychylny!

„Najpierw musim się posilić, bo dwa dni już się głodzimy. Potém spróbujemy się przedrzeć, jeźli się uda; a nie — to przebić, póki nas jeszcze nie wytropią i nie otoczą żelaznym wiankiem do koła. Czytałeś w depeszy, co za siły na nas ciągną?"

„Ba! sześć dział przecie wloką — najmniejsza ich siła idzie właśnie ku nam z téj strony, ku któréj postępujemy. Będzie nam łatwiéj przez nich się przebić."

Naraz w dali dał się słyszeć huk działa. Stanął zbladły gajowy i wybełkotał. „Czyście słyszeli panowie?"

— „Biją się nasi w pobliżu, pułkowniku! Odpocząć trochę i ruszyć im w pomoc, na Boga!" Lecz pułkownik milczał. Cały pochód stanął i grobowa cisza zapanowała w obozie. Każdemu serce mocniéj bić zaczęło i nie jeden szeptał w duchu pacierze. Tylko zuchy z obojętną, lub wesołą miną oglądały broń swą, gotując się do bitwy. Wszyscy natężali słuch swój w stronę, z któréj huk dał się słyszeć; tylko pułkownik w zupełnie przeciwnym obrócił się kierunku i podsłuchiwał. Jakoż niebawem z téj właśnie strony dał się w oddali słyszeć huk armat.

„Biją się nasi!" przebiegło jak piorun po oddziele, — „Nie biją się!" ponuro rzekł dowódzca — „to były strzały bez odbitki — samym więc tylko prochem — bez kul. Sygnały jedynie! zwołują się na nas. A więc my ich czekać nie będziemy, tylko marsz!" — kiwnął i ruszył znów pochód. Ledwie kilka uszli kroków, gdy nagle gajowy, schwycił za rękę dowódzcę i szepnął:

— „Czy słyszysz pan trąbkę?"

Pułkownik, stanąwszy, słuchał chwilę, potém rzekł: „Moskwa tuż! nie ma wątpliwości, więc trzeba będzie walczyć na śmierć — przebić się, by ujść im z matni i ratować co można. Bóg wam zapłać, ojcze, macie tu zapłatę" — dodał, dając pieniądze gajowemu.

„Nie! proszę wielmożnego pana" — zbladły mówił gajowy — „kiedym nie był w stanie uprowadzić was przed Moskalami, to nie chcę pieniędzy."

„Bierz," zawołał adjutant — „lepiéj że ty weźmiesz, niż żeby je mieli wziąść Moskale."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Tajemnice Afryki.

(Z Ryciną.)

II.

Samuel Baker, któregośmy zostawili wśród plemienia Laturków, udał się następnie do kraju Obbo. Mieszkańcy téj ziemi należą do piękniejszéj rasy murzynów. Ich włosy, przytrzymane sztucznie cienkiemi skórzanemi rzemyczkami, formują z tyłu rodzaj harcapu. Mężczyzni okrywają się skórami zwierząt, występując nago tylko do walki, ale za to kobiety, pomiędzy któremi jest dużo prawdziwie ładnych, przewyższają pogardą stroju wszystkie inne mieszkanki ziemi afrykańskiéj. Bukiet zielonych liści, przywiązany sznurkiem w pasie, tworzy całą ich toaletę, która przynajmniéj ma tę zaletę, że zawsze może być świeża i nowa. Pomimo téj aż nazbyt rajskiéj szaty postawa tych kobiet jest pełna przyzwoitéj skromności.

Naczelnik plemienia Obbosów, nazwiskiem Kacziba, w podeszłym już nieco wieku, jest łagodnego i dobrego charakteru i trudni się po trochu czarnoksięstwem. Posiada liczny zastęp żon i sto szesnaście żyjących dzieci, z pomiędzy których synowie zarządzają rozległemi jego włościami. Najstarszy z nich, dzielny i dorodny młodzieniec, został przydany pani Baker jako honorowy opiekun w czasie krótkiéj nieobecności męża i sprawował swe obowiązki z pełną troskliwości galanteryą.

Kacziba, który nie lubił chodzić, odbywał zazwyczaj podróże w oryginalny sposób. Jeden z jego poddanych brał go na silne swe barki, dwóch innych szło w odwodzie, a pochód zamykała jedna z jego licznych żon, niosąc ogromny dzban piwa dla swego małżonka i pana. Kacziba rządzi zupełnie absolutnie swym ludem, który, jak wszystkie plemiona tych okolic, począwszy od Latukii aż do jeziora N'gami, wierzy, że jego monarcha ma władzę dowolnego rozporządzania pogodą i deszczem i za pomocą różnych darów stara się wyjednać u niego pożądaną zmianę powietrza. W czasie suszy Kacziba każe sobie składać daniny z kóz, w czasie zaś ulewnych deszczów ofiary z mąki i zboża. Raz jednak podczas pobytu Bakera Kacziba był w wielkim kłopocie; deszcz pomimo wyraźnego jego rozkazu nie chciał padać, a poddani zaczynali się już buntować. Odrzuciwszy więc na bok wszelkie względy, poszedł cichaczem do Bakera na poradę, zapytując się go, czy nie umie sprowadzać deszczu. Baker przypatrzywszy się niebu, powiedział na chybi trafi, że niezadługo deszcz spadnie, ale prędko ustanie. „Przewybornie,“ zawołał Kacziba, „słowo w słowo moje zdanie,“ a przybierając znowu tajemniczą powagę czarodzieja, dodał uroczyście: „Tak, jeżeli mi poddani przyprowadzą wieczorem kozy, a jutro złożą daninę ze zboża, będą mieli deszcz za cztery dni.“ Poczém kazał Bakerowi gwizdnąć dwa razy na palcu i odszedł z miną tryumfatora.

Baker zmierzając z niezmordowaną wytrwałością do upragnionego swego celu, puścił się następnie w dalszą podróż. Po pięciu dniach nieustannego marszu, w czasie którego podróżni nasi przebiegali na przemian to wspaniałe dziewicze lasy, piękne i malownicze okolice, do przepysznych parków podobne, to rozległe błotniste bagna i okiem nieprzejrzane stepy, — znużona karawana stanęła nad brzegiem Somersetu, czyli Nilu Białego, wypływającego z jeziora Wiktoryi. Natychmiast z przeciwnego brzegu Nilu odbiła łódka, wioząca czarnych parlamentarzy, gdyż huk wodospadu zagłuszał słowa i niedozwalał porozumieć się przez rzekę. Bakerowi głównie chodziło o to, ażeby zasłonić się przed wszelką zdradą ze strony krajowców, których rozliczne plemiona pozostają w ciągłéj ze sobą niezgodzie i pozyskać zaufanie potężnego władzcy kraju z tamtéj strony Nilu, nazwiskiem Kamrasi. Użył więc jako talizmanu nazwiska Speke'a, które prawdziwie magiczny wpływ w tych okolicach wywiera i kazał tłómaczowi powiedzieć, że jest bratem tego wielkiego podróżnika, który go tu przysłał z mnóstwem bogatych darów dla Kamarasego. Ale nieufni mieszkańcy zaczęli Bakerowi robić trudności, nie dozwalając mu przeprawić się przez rzekę. Wówczas Baker kazał rozłożyć wspaniały perski kobierzec, pokazał zdumionym wysłannikom przepyszny naszyjnik z drogich kamieni i powiedział im, że, jeżeli mu będą wzbraniać przeprawy przez rzekę, pójdzie z temi darami do innego plemienia. „Zatrzymaj się, zatrzymaj“ zawołał wtedy z przestrachem najstarszy z parlamentarzy i zwierzył się Bakerowi, w jak trudném pozostaje położeniu; surowy bowiem Kamrasi pogroził jemu i jego towarzyszom śmiercią, w razie gdyby pozwolili Bakerowi oddalić się zupełnie z tych stron, lub téż przeprawić się przez rzekę bez wyraźnego rozkazu monarchy.

Nareszcie po długich układach Baker dostał się na drugą stronę rzeki. Mieszkańcy lewego brzegu Nilu okrywają się wszyscy szatami i po większéj części ubranie ich przypomina togi arabskie lub rzymskie. Kobiety i dziewczęta noszą krótkie podwójne spódnice. Odzieży dostarcza im kora figowego drzewa, która, moczona długi czas w wodzie i potém ubita młotem, zamienia się w miękką materyą podobną do bawełnianego wyrobu, i mającą kolor skóry garbowanéj. — Wysokie chaty mieszkańców, zbudowane z słomy i trzciny, mają wewnątrz kształt przewróconego koszyka, a zewnątrz wyglądają jak kuszki pszczół. Wnętrze ich jest bardzo ciemne.

Po niejakim czasie wysłannicy króla przybyli i uznali Bakera za brata wielkiego Speke'a, ale dotychczas nie udało się jeszcze Bakerowi zasięgnąć żadnych wiadomości o głównym celu swych poszukiwań, to jest jeziorze Albert N'Yanza lub Luta N'zige. Przyjechawszy do Mruli, stolicy kraju, która jest tylko małą wioską, składającą się z kilku nędznych chat, Baker stanął przed Kamrasim, czyli raczéj, jak się później wykazało, przed jego manekinem, gdyż ten tchórzliwy monarcha, bojąc się zdrady, kazał grać rolę króla swemu bratu. Zapytanie Bakera o jezioro Luta zbył fałszywy Kamrasi wybiegliwą odpowiedzią i w żaden sposób nie chciał dać mu potrzebnéj eskorty, choć doświadczony nasz podróżnik obiecywał mu złote góry. Nareszcie po

długich, daremnych układach król oświadczył najspokojniejszym w świecie tonem, że gotów jest przychylić się do żądania Bakera, jeżeli mu tenże swéj żony odstąpi. Obrażony tą bezczelną propozycyą Baker nabił spokojnie pistolet i wymierzywszy go o dwa kroki na króla, powiedział mu z nietajoną pogardą, że jeżeli się ośmieli powtórzyć nieprzyzwoite swe słowa, natenczas strzeli do niego, a wszyscy jego poddani nie zdołają go wtedy ocalić od niechybnéj śmierci. Pani Baker, usłyszawszy propozycyą Kamrasego, zerwała się także z siedzenia i dając folgę oburzeniu swemu, przemówiła do niego z takim ogniem i siłą po arabsku, że tenże, choć może słów nie zrozumiał, domyślił się ich znaczenia z głosu i energicznéj postawy Angielki. Jakoż natychmiast zaczął Bakera przepraszać, uniewinniając się, że nie miał bynajmniéj zamiaru go obrażać, lecz owszém chciał dać mu tylko dowód swéj uprzejmości, gdyż odstąpienie żony królowi uchodzi za zaszczyt w jego państwie.

W końcu Kamrasi zezwolił na dalszą podróż Bakera. Ledwo podróżnicy zbliżyli się do pierwszéj wioski, wybiegła naprzeciw nich z dzikim okrzykiem wielka gromada zbrojnych murzynów. W pierwszéj chwili Baker był przekonany, że to zdradziecki napad krajowców, ale uspokoił się, spostrzegłszy między tłumem kobiety i dzieci. I rzeczywiście był to tylko wybryk swawoli rozochoconych murzynów. Cała ta zgraja przypuszczała n by szturm do jadących potém się biła między sobą wrzeszcząc przeraźliwie, nareszcie w dzikim szale rzuciła się na jednego ze swoich i mgnieniu oka rozszarpała go na sztuki. Ubiór dzikich był pocieszny. Skóry lamparcie i małpie okrywały ich ciało i spływały im ogonami z bioder. Rogi antylopy przytwierdzone do głowy i długie sztuczne brody, zszyte z kilku ogonów, nadawały im pozór djabłów. Była to eskorta mająca według rozporządzenia Kamrasego zaprowadzić podróżnych nad źródło Nilu, ale widok jéj nie bardzo ucieszył Bakera, który tylko z wielkim trudem zdołał swych ludzi powstrzymać od przywitania rzęsistą salwą szczególnych tych strażników bezpieczeństwa. Przez cały ciąg podróży przyboczna ta gwardya królewska była tylko zawadą dla karawany tak, że zniecierpliwiony Baker musiał ją w końcu oddalić.

Niebawem Baker zbliżył się do upragnionego celu swych poszukiwań. Przybywszy wieczorem do wioski, zwanéj Parkani, podróżni spostrzegli zdala wierzchołki gór, wieńczące siną opaską przeciwny brzeg jeziora Albert N'Yanza. Równo ze świtem Baker ruszył w tę stronę i ze szczytu pagórka zobaczył naraz olbrzymią szybę wody, która, błyszcząc jak wielkie zwierciadło żywego srebra, rozlewała się na południe ogromném jeziorem bez brzegu i granic. Na zachodzie szarzały niebieską mgłą oblane wierzchołki gór, które zdawały się występować z wezbranego łona fal. Serce Bakera zadrżało radośnie na widok masy wód, któréj przez tyle wieków napróżno szukano. Pod stopami jego rozściełało się jedno z największych arcydzieł przyrody . . . drugie źródło Nilu.

z.

Sobotnia pogadanka.

Sanno, sanno przybywaj! wołał u nas już od listopada cały modny świat, chciwy kuligów i szlichtad, podczas gdy młode pokolenie, widząc rdzewiejące w kącie łyżwy, gorąco się o lód modliło. Tymczasem pani zima głuchą była na wszystkie te westchnienia! Zrzuciwszy ciężki swój kożuch w którym zwykła przyjmować mroźne uściski Boreasza, chodziła sobie w jesiennéj kapocie i zamiast rozściełać po ziemi śnieżne kobierce, a szyby wód przejrzystym ścinać kryształem, bawiła się wylewaniem cienkich a marudnych deszczy na głowy biednych śmiertelników i mazaniem im obuwia szarą masą błota. Czyż już nie będziemy mieli ani jednego zdrowego mrozu? wołali posiadacze futer, troszcząc się o marznące krocie biedaków, tyle co ów niemiecki apostół zdrowéj wojny i słynny wynalazca słowiańskiéj mierzwy (profesor Leo) o szary gmin, przeznaczony na mięso dla armat. Pewnie tam na niebie zaszły rewolucye à la hiszpańskie pronunciamento, myślał sobie nie jeden Może kosmiczne przepowiednie Fouriera zaczną się sprawdzać, gdy wieczysta zorza północna wystrzeli nad naszym planetą, a kwas borealny, zniszczywszy żywiczne pierwiastki wody w oceanach, zmieni je w olbrzymie rezerwoary limoniady. Tymczasem jedna noc obróciła w niwecz te rachuby.

Jędrny mrozik, który niespodzianie oddał nam wizytę, przywrócił do razu zimowy porządek rzeczy. W jednéj chwili drzewa i krzewy, które miały już ochotę zaprezentować się Styczniowi z wiosennemi pączkami, wstrzymały przedwczesny obieg soków w swém łonie i popadły na nowo w twardy sen. Skóry niedźwiedzi, wilków, bobrów i innych zwierząt, które ongi zjadały Kamczadali i Eskimosów na śniadanie, albo też skubały mech podbiegunowy, wyroiły się ze szaf i schowań garderobianych na ulice Poznania, by szlachetniejszym grzbietom dać teraz osłonę przeciw zimnu. Stawy i stawki za miastem oszklone skorupą lodu, pokryły się tłumem młodocianych wirtuozów łyżwowych, z których każdy, uwijając się żwawo po ślizgawicy, buchał parą, jak mały ruchomy wulkanik. Niebawem i ziemia upomniała się o biały swój płaszczyk Niebieskie stropy otwarły się i w gęstych płatkach rozsuły po niéj łabędzi puszek. Zaledwie zaś pierwsza warstwa śniegu ubieliła bruk i dachy, zaczęły zewsząd wysuwać się sanie i sanki, które dotychczas nieczynne stały w głębi wozowni, zazdroszcząc codziennéj agitacyi swym czterokolnym siostrom.... dorożkom Kto żyw, wsiada do owych lotnych czajek lądu i buja w nich wesoło po ulicach miasta.

Tak więc zima, choć późno, zawitała przecie do nas ze wszystkiemi swemi atrybutami. Zdaje się, że po prostu zmówiła się ona z tegorocznym karnawałem, ażeby en grands seigneurs stawić się wtedy, gdy już wszyscy o przybyciu ich zwątpią. Karnawał także dopiero teraz zaczyna się ożywiać, lecz jeszcze jest tak ociężały, że bale mimo caléj gorliwości urządzających mogą w najlepsze robić fiasko. I tak pierwszy bal „kółkowy", któremu przed dwoma tygodniami pomyślny stawiałem horoskop, wystrychnął mnie na złego proroka, przepadając, jak mówi Niemiec, mit Pauken und Trompeten. Lecz nie mogłem był wtedy przewidzieć, że mu jaka „dobroczynna herbata" ze-z-chce spłatać figla. Dopiero, gdy pojawiło się w Dzienniku ogłoszenie o zabawie składkowéj, mającéj się

urządzić pod anspicyami św. Wincentego w trzy dni po balu, zrozumiałém, jaki los czeka tego nieboraka.

Prześwietna dyrekcya Koła Towarzyskiego domyśliła się także, na co się zanosi, lecz, nie mogąc cofnąć zapowiedzianéj w upragnienie zabawy, pozosta ją własnym losom. Wyznaczeni na ten wieczór gospodarze stawili się na czas i przypiąwszy sobie zielone kokardki do fraków, zajęli z rezygnacyą stanowiska u wejścia do sali. Były tam wszystkie zewnętrzne warunki dobréj zabawy, jako to: przestronne miejsce, gładka posadzka, rzęsiste światło i huczna orkiestra; brakło tylko jednéj małéj drobnostki G.... gości. Sangwinicy pocieszali się, że do 10 godziny zbierze się jakie takie towarzystwo, lecz każdy weteran karnawałowy, potrzebował tylko rzucić okiem do koła, a z kwaśnych min służby, nader skromnego bufetu i ospałości muzyki, oraz pustéj galeryi widzów poznałby natychmiast, że balu wcale nie będzie. Cała aura wiała jakimś złowieszczym chłodem, a miasmat fiaska rozchodził się już po sali. Jakoż kwadrans mijał po kwadransie a nikt nie przybywał. W końcu przyszło kilkanaście dam na galeryą i młodzież częścią we frakach, częścią zaś jeszcze zwyczajnych tużurkach zaczęła się zbierać w bufecie. Gdy dziesiąta wybiła, a na sali nikogo nie było, ogłosili heroldzi, że balu wcale nie będzie. Teraz dwie alternatywy zostały zebranéj publiczności; albo kazać pogasić światła i rozejść się do domów, albo téż ukonstytuować się w prywatne kółko i bawić się na mniejszą skalę. Za pierwszą alternatywą oświadczyła się cała płeć piękna, za drugą zaś cała młodzież, któréj nie w smak było wracać z długiemi nosami do domu. Która strona ostatecznie zwyciężyła, nie trudo się domyśleć. Na dany znak zagrała muzyka, a sala dotychczas pusta ożywiła się nieznacznie. Chciałeś patrzeć, co daléj nastąpi, lecz w tém biała zasłona, spadając ze stropów sali, zakryła mi wnętrze jéj przed oczyma. W środku téj tajemniczéj kurtyny wyszyty był napis: „Towarzystwo zawiązane,“ a pod nim mniejszemi głoskami dla objaśnienia polskiego tekstu szarzał tak, jak na drzwiach wchodowych naszego Kółka napis: Geschlossene Gesellschaft. Odrzuciła więc na bok mój kronikarski ołówek i poszedłem do domu, żałując, że już nie należę do wielbicieli Terpsychory.

XX.

ROZMAITOŚCI.

Dyktatorskie wino.

Wkrótce po schwytaniu Langiewicza przez Austryaków rozeszła się pogłoska, że dyktator uszedł z więzienia i przebrany przyjechał do Księstwa. Ksiądz Z. w P. czytał właśnie tę pocieszającą wiadomość w Dzieniku Poznańskim, gdy zaturkotała bryczka na podwórzu plebanii i nie za długo wszedł do pokoju ks. K. w towarzystwie nieznajomego mężczyzny. A witajże mi, kochany sąsiedzie! zawołał gospodarz. — W dobréj chwili przyjeżdżasz. Wypijemy na zdrowie naszego Maryana — który tak gracko z kozy uszedł. — Jakto? Jegomość już wie o wszystkiém? Ale pst! to tajemnica! pachnie „hochferatem.“ — Cóż znowu? tajemnice, które wiedzą woźnice! Waszeć chce mnie pewnie wziąść znowu na fundusz. Ale za późno! Ja także czytałem gazetę. — Co? gazety już nawet o tém piszą? — zawołali obaj goście, a nieznajomy z widocznem pomięszaniem chwycił za Dziennik. — Ks. Z. otworzył teraz szeroko oczy i zaczął z uwagą przyglądać się gościowi. — Hm! wąsy ogromne — mruczał do siebie — wynędzniały, widać siedział w więzieniu — na Boga, to on!

— To źle, Maryanie! Chyba telegrafowali — mówił z cicha. ks. K. do towarzysza, zaglądając przez ramię jego do gazety. Gospodarz, usłyszawszy imię Maryana, wyprostował się cały i przybierając uroczystą minę — rzekł do gości: Panowie zechcą przejść do drugiego pokoju, ja zejdę na chwilę do piwnicy; mam tam w kąciku stare hungaricum, godne dyktatora. — To mówiąc, skłonił się nisko nieznajomemu i z znaczącym uśmiechem wyszedł z pokoju. Obaj goście mrugnęli filuternie na siebie i zasiedli na kanapie. — Czcigodny gospodarz, powrócił niebawem z ogromnym gąsiorkiem, którego brzuszek, wysłany grubém pleśni futerkiem, zdawał się być rodzonym braciszkiem jegomościnego brzucha. — To hetman mojéj armii piwniczéj — rzekł, stawiając gąsior na stole - pamięta jeszcze moje prymicye. Ileż plutonów pękatych garncówek i cienkich flaszek legło u stóp jego! on jedyny przetrwał wszystkie batalie odpustowe. Już niejeden godził na niego, ale ja broniłem go dotąd wytrwale, chowając nektar ad feliciora tempora! Dziś przybycie tak dostojnego gościa... Ale pozwól go sobie przedstawić! przerwał ks. K. — Nie potrzeba, nie potrzeba! odparł gospodarz. Teraz czasy wojenne! Cóżby mi przyszło z pseudonimu, którym się dziś każdy maskuje. Wystarcza mi zupełnie, że pan jesteś moim gościem. — To mówiąc, podał rękę nieznajomemu, uścisnął ją serdecznie i nalawszy kieliszki, zawołał: Zdrowie naszego dyktatora! Oby nam znowu szczęśliwie hetmanił i moskiewskie pl.....wo z kraju wymiótł! — Brzękły kieliszki i złoty napój, więziony w szkle od lat dwudziestu, polał się, napawając atmosferę zapachem „myszki.“ Patryotyczne toasty następowały szybko po sobie a rozmowa nastrajała się coraz serdeczniéj. Wreszcie pokazało się dno w gąsiorku, gospodarz, któremu oblicze podobnie jak i gościom, kraśniało żywym rumieńcem, powstał i wniósł ostatni staropolski toast: Kochajmy się! Spełniono go, a w kilka minut potém bryczka plebańska uwiozła ks. K. wraz z zagadkowym jego towarzyszem.

Nazajutrz był odpust w *. Ksiądz Z. pojechał nań w najlepszym humorze i z tajemniczą miną witał swoich konfratrów, między którymi i ks. K. także się znajdował. — Czy to prawda, Jędrzeju? — zagadnięto zewsząd nowo przybyłego — że twój opleśniały ataman piwnicy wczoraj kapitulował? — A tak! wypiliśmy go w trójkę z księdzem K. i... — J z siostrzeńcem moim, ktorem *, dorzucił ks K. — Ks. Z. spojrzał z zdziwieniem na niego, lecz po chwili uśmiechając się mruknął sobie pod nosem: Aha! rozumiem! ma to być tajemnicą. — Wino było wyśmienite, prawdziwie dyktatorskie, prawił tymczasem tamten daléj i obracając się do jednego z księży zawołał: A teraz braciszku, przyślij mi antałek deszczówki, bom wygrał zakład. — Jaki zakład? zapytali wszyscy. — Zakład, że jeszcze w tym tygodniu będę pił wino, którego ks. Jędrzej strzegł, jak oka w głowie. — Ale, jakimże sposobem tyś dokazał téj sztuki? — żadnym! Przyjechałem, przywitałem się, a ks. Z, sam bez proszenia przyniósł gąsiorek. Czy nie prawda, ks. Jędrzeju? — Prawda, prawda! — odrzekł zagadnięty. — Nie, nie! w tém musi być jakaś tajemnica! rzekli wszyscy chórem, gdy w téj chwili nadszedł ku nim świeżo przybyły ksiądz dziekan i wyjmując Breslauer Ztg. z rewerendy, rzekł poważnym głosem: Panowie, źle! Wiadomość o ucieczce Langiewicza nie potwierdziła się. — Zasępiło się całe grono zacnych kapłanów i kiwając głowami podawało sobie gazetę z rąk do rąk. Tylko ks. Z. zaczerwienił się mocno, spojrzał ostro na ks. K. i pogroził mu palcem. — W kilka dni potém odebrał on przez umyślnego kosz wina z pieczątką pana Pfitznera i etykietą: Kaiser Franz Joseph. *** 1859. Załączony liścik opiewał:

Do ciężkich gniewów dałem Ci przyczynę,
Lecz niech cię wzruszy dziś ma pokora!
Bijąc się w piersi, wołam: daruj winę
I weź cesarza za dyktatora.

Rozśmiał się na ten koncept zacny proboszcz i przebaczył figla koledze. Dziś obaj są już wykreśleni z liczby żyjących.

B. Brz.

Różne myśli.

Skromność jest rośliną, która tylko na szlachetnym wschodzi gruncie.

Systemy są jako szczury, które przez dziesięć dziur przechodzą, a w jedenastéj więzną.

Zagadka.

Wśród traw, niezapominajek
Mieszkam obok psotnych czajek.
Szukać milszego nademnie stworzonka!
Lecz niech mi sknera nie zmienia ogonka,
Bo mu do domu wpadnę obcesem
Pod osłoną tajemnicy —
Całą spiżarnię złupię z kretesem,
Zostawię pustki w piwnicy.

(Rozwiązanie szarady w nr. 4: ***Papier — osy.***)

PUSZKA DO LISTÓW.

Pani W. T. w Kę.: ślicznie dziękujemy. Panu Wł. St. w In.: użyliśmy dzisiaj. Panu An. J. Ce. w Krak.: Sonet ładny, ale za lubieżny dla Sobótki pierwszemu wierszowi braknie jednéj zgłoski. Panu Kr. w Pozn.: Czyta się gładko, lecz wyższego polotu nie widać i rymy za powszednie. Autorce Abecadlnika: Lepiéj wydać w osobnéj książeczce. Nam się nie może przydać. — Ks. K: zagadkę umieścimy późniéj.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.